

Kronika tygodniowa.

I tak, aniśmy się nawet oglądali, a jest już po świętach, co zaś najgorzej, dzięki wzmocnieniu po wielkim poście apetytowi i pragnieniu zniknęły też świetalne zapasy, stałe i płynne. Ja sam we środę rano przed wyjściem do Redakcji spożyłem ostatni kawałek szynki i popiłem ostatnim tykiem węgryna, naturalnie krajowego wyrobu, gdyż swojski nasz przemysł otaczam szczególniejszą opieką i faworem.

Do bab nie zabierałem się wcale, także do placzków, tortów i mazurków, życie bowiem uważam za jedno pasmo goryczy, a wszelakie słodczyce zostawiam sobie na niebo.

Jak zaś spędziłem cały ten tydzień, poczynawszy od środy ubiegłej, gdy kronikę oddałem w ręce pana metrampaża (pozwolę sobie dodać, że znów uciął jej potężny kawał ogona! Ten człowiek z taką precezą, władą nożycami, iż twierdzą, że minął się stanowczo ze swem powołaniem, powinien być zostać nie drukarzem, ale dziennikarzem, już choćby krawcem!...), postaram się poniżej opowiedzieć. Będzie to znakomity materiał dla mego przyszłego biografa, gdyby kiedyś zabrał się do skreślania dziejów mego pracowitego żywota, a chyba na to zasłużyłem sobie swą dotychczasową działalnością!...

Popołudnie więc śródowne po zrobieniu korekty i rewizji poświęciłem wypoczynkowi i rozmyśleniu nad znikomościami, zwłaszcza, że obiad w domu dano mi postny, to jest zupkę ziemniaczaną i śledzia marynowanego i zawiadomiono, że mięsa nie ujrzą na stole aż do niedzieli.

Ha! Trudno — pomyślałem sobie w duchu — głową muru nie przebiję, z żoną o to kłócić się nie będę, doświadczę zresztą przyjemności jarskiego żywota i kto wie, czy potem nie palnę na ten temat jakiejś naukowo-popularnej rozprawki, choćby na złość naszym rzeźnikom, którzy musieliby chyba zbankrutować, gdybyśmy wszyscy zamiast mięsa zaczęli się odżywiać różnymi zieleninami i jarzynami. Tego rodzaju strawa dodaje siły i fantazy, tak mnie przynajmniej zapewniał jeden zdeklarowany jarosz, który od lat szeregu prócz własnego języka (a i to go do pasy doprowadza), nie miał w ustach innego kawałka mięsa. Jako wzór postawił mi przed oczy pełnej krwi arabskiego rumaka i hiszpańskiego byka, które, mięsa wcale nie jedząc, cieszą się przecież i siłą i zdrowiem i humorem!

Pogodziłem się więc z losem i do tego stopnia złagodniałem, iż oświadczyłem się mojej lepszej połowie z gotowością pomagania przy czynnościach gospodarskich.

Kto wie, czy nie był to pierwszy objaw zmienionego trybu życia!

Moja magnifika zwołała też zaraz wojenną naradę, w której wziął udział cały domowy fraucymer, w charakterze zaś fachowego konsultenta pocziwa nasza kucharka, Kasia. Obrady były tajne, po godzinnych debatach ogłoszono mi ich wynik.

Brzmiał on mniej więcej w ten sposób:

„Zważywszy, że jako mężczyzna, na czynnościach kuchennych zupełnie się nie znam i przeszkadzałbym tylko, zamiast pomagać, ofertę moją odrzuca się *a limine*. Natomiast, o ile mam ochotę, mogę wyręczyć Kasię w zawieszaniu firanek, trzepaniu mebli, i froterowaniu podłóg.“

Oświadczenie to przyjąłem do wiadomości i pomyślałem sobie, że zawieszanie firanek przyczyni się do wyrobienia w sobie zgrabności ruchów przy spinaniu się podczas Rękawki na słup, na którym Rada miejska podgórska umieszcza różne prezenty, trzepanie mebli wygimnastykuje me mięśnie rąk i klatki piersiowej, froterowanie zaś sprawi taką samą przyjemność, jak ślizgawka lub tango.

Zdrowie moje może więc tylko zyskać na tem, tak mnie zresztą moja połowica przekonywała, a ona zawsze ma rację.

Że się na czynnościach kuchennych, specjalnie zaś, o ile one odnoszą się do przygotowań świątecznych, nie znam, o tem dowiedziałem się także z listu, jaki odebrałem w sam Wielki Piątek.

Brzmiał on, jak następuje:

„Panie Kronikarzu!

„Dziwi mnie bardzo, że wtykasz Pan swój czcigodny nos w nieswoje rzeczy, na punkcie bowiem przygotowań świątecznych okazujesz najzupełniejszą ignorancję, co zechciej przyjąć do swej wiadomości. Zechciej też w najbliższej kronice, na tem samem miejscu i tym samym drukiem sprostować na podstawie paragrafu dziewiętnastego ustawy prasowej, iż nie jest prawdą, jakoby przed ustawami Wielkiejnocy tarło się mak, natomiast prawdą jest, że mak trze się przed Bożem Narodzeniem do strucli.“

Przyjm Pan przy tej sposobności wyrazy współczucia dla swej nieświadomości.

Jedna z wielu.“

Nie chcąc się narażać na proces prasowy, który, nie wiem, jakby wypadł, zacząłem szukać w różnych podręcznikach kucharskich i szczęśliwie wpadłem na wiekopomne dzieło ś. p. Lucyny Œwierciakiewiczowej, jedynej z pomiędzy piszących kobiet, którą szanuję i podziwiam, p. t. „Trzysta sześćdziesiąt pięć obiadów i zbiór przepisów pieczenia ciast i smażenia konfitur“.

W rozdziale, traktującym o dekoracji stołu wielkanocnego, przeczytałem, iż ozdobą jest tort makowy, przepis zaś, jak się go przyrządza, mówi wyraźnie, iż mak musi być należycie utarty, gdyż w przeciwnym razie byłby bardzo niestrawny, jak o tem zresztą dowiedzieć się można i z wskazówek mieskiego fizyka, dbającego o nasze zdrowie...

Odpowiadam więc Szanownej Interpelantce:

„Nie jest prawdą, jakoby tarcie maku należało wyłącznie do czynności przygotowawczych przed Bożem Narodzeniem, natomiast prawdą jest, iż skutecznie się je i przed Wielkanocą, jak się sam o tem miałem sposobność przekonać, widząc w wielu domach torty makowe, babki z makiem i tym podobne makowe smakołyki!“

Na tem polemikę zamykam, nie chciałbym bowiem prowadzić „wojny z babami“, wystarczy mi, jeśli ja mam przez cały rok w domu, lub widzę na scenie Teatru Ludowego, który rozbił swe namioty w Parku Krakowskim dzięki staraniom Syndykatu dziennikarzy.

Wielki Œwartek spędziłem więc bardzo ruchliwie, z jaką zaś energią trzepałem meble, mogą się przekonać Sz. Czytelniczki, gdy się dowiedzą, że na dwu fotelach aż materya popękała.

Podczas ustawiania kanapy miałem jednak awanturę, gorszą od tej, jaką Miłośnicy przeszłości miasta Krakowa robią magistratowi w sprawie przesunięcia kamienia Kościuszki, by tramwaj mógł wygodniej po Rynku kursować.

Ja proponowałem, by ze względu na wygodę postawić ją, t. j. ową nieszczęsną kanapę, która o mały figiel nie stała się jabłkiem niezgody w tak dobranem, jak nasze, małżeństwie, w kącie naprzeciw okna, moja żona twierdziła, że na żadne nowatorstwa się nie zgodzi, a kanapa zostać musi tam, gdzie stała od lat dwudziestu, to jest między oknami.

Posypały się argumenty z jednej i drugiej strony, ostatecznie musiałem ustąpić, sądząc, że w ten sam sposób postąpi i magistrat, łatwo bowiem mogłoby się zdarzyć, iż ktoś zaproponowałby zburzenie wieży ratuszowej, by odsłonić charakterystyczny komin na odwachu (zabytek miejskiego budownictwa z drugiej połowy dziewiętnastego wieku), lub zdemolowanie kościoła i klasztoru Franciszkanów, zabierającego światło pałacowi Wielopolskich i Larysza.

Wystarczy zrobić tylko początek, reszta pójdzie już, jak z płatką.

W Wielki Piątek gasną ogniska domowe, otrzymałem też najwyższe pozwolenie, by zamiast obiadu pójść sobie na spacer i po drodze coś przetrząść. Skorzystałem z tego, rzecz prosta i powędrowałem „pod Obraz“, potem „pod Palmę“ i tak dalej i dalej, a muszę przyznać, że aż serce mi rosło, gdy wszędzie widział, choć jeszcze dwunastej nie było, w miłej zgodzie urzędników wszelkich dykasteryi, tak rządowych, jak i autonomicznych, spożywających tradycyjnego śledzika i zwilżających go potem smakowitym pilznerkiem.

Wracając do domu, kupiłem pod Maryackim kościołem grzechotkę do domowego użytku, gdy mi żona będzie zanadto dokuczała.

Sobota nie różniła się bardzo od piątku. Rano musiałem pomódz Kasi przy wieszaniu firanek, czemu żona się wcale nie sprzeciwiała, wierzy mi bowiem, że jej nie zdradzę, zresztą Kasia ma już lat pięćdziesiąt i ośm, a u nas służy już od lat trzydziestu. Zaczęła swą karierę jako karmicielka najstarszej mej córki, obecnie jest kucharką i panną do wszystkiego w jednej osobie.

W samo południe (obiadu znowu nie było!) wydano mi polecenie, bym się przespacerował, a potem sprowadził księdza celem poświęcenia zapasów świątecznych, niestety nie potrafiłem się wywiązać z tego mandatu, spotkałem bowiem kilku kolegów i przyjaciół, którym również w domu jeść nie dano i razem z nimi zacząłem zwiedzać... naturalnie knajpki. Wróciłem dopiero koło północy, lekko zaproszony, w domu jednak wszystko już spało, więc obeszło się bez awantury!

Najgorzej, że gdzieś w drodze zgubiłem grzechotkę, lub też może ukradł mi ją który z towarzyszących niedoli, mający tak samo, jak ja, kłótliwą magnifikę.

Niedziela, nastrój pod każdym względem bardzo

uroczysty. Przed pójściem do kościoła święcone jajko z rodziną. Życzyłem mojej połowicy głównej wygranej na loteryi klasowej, wraz z premią, ona odpowiedziała w zamian:

— Daj ci Boże rozum, mój stary!

Potem buzi z dubeltówki, ale nie z takim już ogniem, jak to ongiś, przed trzydziestu laty, wreszcie wymarsz z domu, każde w swoją stronę, ja do przyjaciół politycznych, żona do przyjaciółek, by się przypatrzeć, jak stół ubrany i dowiedzieć, czy babki się udały.

U nas się udały, bośmy je wzięli w cukierni na kredyt.

Nie będę opisywał, gdzie byłem, com jadł, co piłem, boję się bowiem, że z zazdrości gotów mi to znów obciąć pan metrampaż, powiem tylko, że w tym roku, ze względu na zbliżające się wybory do Rady miejskiej, gościnność staropolska naszych demokratów doszła do punktu kulminacyjnego. Choć Wisła z brzegów nie wystąpiła wcale, w żadnym roku nie było tylu zalanych. Przyczyniły się także i ciężkie czasy, niektórzy pili ze zmartwienia, że jest źle, a może być jeszcze gorzej.

Na ogół muszę przyznać, że wolę demokratyczne przyjęcia od arystokratycznych, tamci bowiem dają więcej jeść i pić, a mniej się bawią w etykietę, z której nikt jeszcze nie był tłusty.

Ilu kandydatom obiecałem poparcie, tego już nie pamiętam, wobec tego jednak wstrzymuję się od wszelkiej agitacji, by przypadkiem któregoś nie pominąć.

Do domu wróciłem już po dziesiątej. Złożyło się dobrze, bo byli goście, więc i dziś uniknąłem gromów, kładąc się przecież spać, myślałem o tem, jaki mnie jutro czeka „Smigus“ od mej starej!...

Poniedziałek podobny znów, jak dwie krople wody, do niedzieli.

Po lekkiej przekąsce w domu dalszy ciąg wędrówki po znajomych, przed południem w samym mieście, popołudniu wycieczka na Zwierzyńiec, gdzie odbywał się Emaus.

Znajomi śmiali się ze mnie, iż przepowiadałem na święta deszcz, a tymczasem pogoda, tłumaczyłem się, że i hrabia Berchtold, a on przecież mądrzejszy odemnie, nieraz się także pomyli! Zresztą stanęło częściowo na mojem, w niedzielę wieczór padał bowiem deszcz, ale podobno uproszony przez pana Nowotnego, by nie było kurzu w poniedziałek.

Wtorek, to już właściwie dzień poświęteczny, choć na popołudnie wypada właśnie Rękawka na Podgórzu, na którą się wybierałem, aby zmanifestować łączność obu miast ze sobą i odwiedzić przyjaciół i znajomych z tamtej strony Wisły. Podgórzanie zaś, to także demokraci z krwi i kości, zapatrzyli się więc w odpowiednią ilość wszelkiego jadła i napoju i przyjmowali nas z prawdziwie staropolską gościnnością, wobec czego próbowanie zręczności w spinaniu się na słup naturalnie odpadło, a ja, rozanielony, późnym dopiero wieczorem powróciłem na łono stroskanej rodziny, zadowolony, że czasu świątecznego nie zmarnowałem!



D^{RA} CRONIER'A PIGULKI PRZECIW BOLESCIOM NEURALGICZNYM

Dostać można:
we wszystkich Aptekach
i Składach Aptecznych.
Skład Główny:
PARIS, 75, rue de la Boétie.

Zapobiega
Przynosi
szłą Ulgę
Leczą

BOLEŚCI
NEURALGICZNE
I KOBIECE.

RIZ ABADIE
Tutki z watą FERROL
:: św. Jerzego
poleca
Société Abadie w Paryżu.